

SYLVIA PLATH

Dzienniki 1950-1962

MARGINESY



[Rękopis na liniowanym papierze oprawiony w czarno-czerwone płótno, z wytłoczonymi na grzbiecie złotymi literami: LAW / NOTES / 6-L / COOP. Paginacja: 432 ponumerowane strony (strony 421–432 puste); 20,5 × 25,7 cm.]

Pieśń zaranna

Louis Macneice

Wgryzałem się w życie jak w kwaśne jabłko,
Gram nim jak pionkiem i jest jak trzeba.

Czegóż mam potem oczekiwać, skoro
Palcami poznałem już błękit nieba?

Nie zmierzchu bogów, lecz wśród cegieł brzasku
I gazeciarzy „nowa wojna” wrzasku.

„Zaczynamy żyć dopiero wtedy, gdy stwierdzamy, że życie to tragedia...”
W.B. Yeats

„Trzymaj się teraźniejszości, tego tu, przez które cała przyszłość przelewa się do przeszłości...”
James Joyce [*Ulysses*, przeł. M. Słomczyński]

1.

Lipiec 1950 – Może nigdy nie będę szczęśliwa, ale dziś wieczorem jestem zadowolona. Pusty dom, ciepłe otumanienie po dniu rozsadzania truskawek w słońcu, szklanka zimnego, słodkiego mleka i płaski talerz jagód w śmietanie – nic więcej. Teraz wiem, jak ludzie potrafią żyć bez książek, bez uczelni. Kiedy człowiek jest tak zmęczony pod koniec dnia, że musi iść spać, a następnego ranka czeka jeszcze więcej sadzonek, i żyje w ten sposób cały czas, blisko ziemi. W takich chwilach głupio by było prosić o więcej...

...

2.

Ilo¹ zapytał mnie dziś, kiedy pracowaliśmy na polu truskawek: „Czy lubisz malarzy renesansowych? Rafaela, Michała Anioła? Kiedyś skopiowałem kilka obrazów Michała Anioła. A co myślisz o Picassie... tych malarzach, którzy udają, że koło i zwisająca z niego deseczka to noga?” Pracowaliśmy na sąsiadujących ze sobą grządkach, przez chwilę milczał, a potem nagle znów zaczął mówić, ze swoim twardym niemieckim akcentem. Miał opalone, krępe, muskularne ciało i jasne włosy schowane pod białą chusteczką owiniętą wokół głowy. „Czy lubisz Frankha Sinatrę – spytał. – Taki zentymentalny, taki rhomantyczny, taki jak w księżycową noc, ja?”

...

3.

– Niebieskawa smuga światła nagle pojawiła się na podłodze pustego pokoju. A ja wiedziałam, że było to światło księżyca, nie latarni ulicznej. Czy jest coś bardziej cudownego w taką noc niż bycie dziewczycą, czystą, nietkniętą i młodą?... (bycie zgwałconą)².

...

4.

– Dzisiejszy wieczór okropny. Pomieszanie wszystkiego: sztuki Kanin *Good-bye My Fancy*, młodzieńczej chęci bycia, jak bohaterka, reporterką w okopach, bycia kochaną przez mężczyznę, który mnie podziwia i który rozumie mnie tak dobrze, jak ja siebie rozumiem. Do tego jeszcze Jack, który próbował być miły, a ja go zraniłam, mówiąc, że chce mnie tylko zaliczyć. Była kolacja w eleganckim lokalu za miastem, wszędzie góry pieniędzy. A potem ta płyta... ta tak dobra do tańczenia. Nie przypomniałam jej sobie aż do momentu, gdy Louis Armstrong zaczął śpiewać głosem ochrypłym od żalu: „Obleciałem samolotem świat cały, rewolucje w Hiszpanii zduszałem, wyznaczałem mapy Arktyki... ale wciąż brak mi taktyki, by zdobyć cię”. Jack zapytał: „Słyszałaś to przedtem?”. Więc uśmiechnęłam się: „Pewnie”. To był Bob³. I wszystko było dla mnie jasne --- szalona płyta i te nasze długie rozmowy, jego słuchanie i zrozumienie. I wiedziałam, że go kocham.

...

¹ Ilo Pili, uchodźca estoński; spotykał się i korespondował z Plath w latach 1950–1953.

² Słowa w nawiasie zapisane ręką Plath innym atramentem.

³ Robert George Riedeman (ur. 1930); B.A. 1952, M.S. 1955, University of New Hampshire; spotykał się z Plath w latach 1949–1950.

5.

– Wieczorem widziałam Mary. W tłumie ludzi wychodziliśmy z Jackiem z teatru, a ona przemykała się w drugą stronę w ciemnoniebieskiej kurtce. Ledwie ją rozpoznałam, miała spuszczone oczy i makijaż. Ale była piękna. „Wszędzie cię szukałam – powiedziałam – Mary! Zadzwoń do mnie, napisz!” Uśmiechnęła się, trochę jak ta Mary, którą znałam kiedyś, i poszła dalej. Wiedziałam, że nigdy nie będę mieć takiej przyjaciółki jak ona. Wychodziłam się bawić w białej sukni, w białym płaszczu, z bogatym chłopakiem. I nienawidziłam siebie za swoją hipokryzję. Kocham Mary. Betsy to tylko zabawa; histeryczna zabawa. Mary to dla mnie... dziewczyna, którą bym była, gdybym urodziła się we włoskiej rodzinie na Linden Street¹. Jest w niej witalność, jest modelką dla artysty, życiem. Bywa niegrzeczna, nie można na niej polegać i znaczy dla mnie więcej niż te wszystkie ładne, bogate, sztuczne dziewczęta, które spotykam. Może to moje ego. Może pragnę mieć kogoś, kto nigdy nie będzie dla mnie rywalką. Ale z nią mogę być szczerą. Mogłaby być prostytutką, a ja nic bym sobie z tego nie robiła; nigdy nie wyrzeknę się jej jako przyjaciółki...

...

6.

– Dziś pierwszy sierpnia. Gorąco, parno i mokro. Pada. Kusi mnie, żeby napisać wiersz. Ale pamiętam, co było napisane na jednym z zawiadomień o odrzuceniu mojego maszynopisu: przy silnych opadach wiersze pod tytułem *Deszcz* spływają powodzią z całego kraju.

7.

– Kocham ludzi. Wszystkich. Myślę, że kocham ich jak filatelista kocha swoją kolekcję znaczków. Każda historia, każde wydarzenie, każda rozmowa to dla mnie materiał. Moja miłość nie jest bezosobowa, ale też nie jest całkowicie subiektywna. Chciałabym być każdym, kaleką, umierającym, dziwką, a potem wrócić do siebie, żeby napisać o swoich myślach, emocjach jako ta osoba. Ale nie mam wszechwiedzy. Muszę przeżyć własne życie, to jedyne, jakie mi dano. Ale przecież nie można wciąż patrzeć na własne życie z obiektywną ciekawością...

...

8.

– Dla mnie teraźniejszość to jest zawsze, a zawsze wciąż przesuwa się, płynie, topnieje. Ta teraz sekunda jest całym życiem, a gdy minie, umiera. Nie można jednak co sekundę zaczynać od nowa. Trzeba decydować, sądząc po tym, co umarło. To

¹ Ulica w Wellesley w stanie Massachusetts, koło torów kolejowych.

jak ruchome piaski... beznadziejne od samego początku. Czyjaś historia, obraz mogą do pewnego stopnia odnowić wrażenie, ale to nie starczy, nie starczy. Nic nie jest prawdziwe oprócz teraźniejszości, a ja już czuję przytłaczającą mnie masę stuleci. Jakaś dziewczyna, sto lat temu, żyła kiedyś tak jak ja. Jest martwa. Jestem teraźniejszością, ale wiem, że też przeminę. Szczytowy moment, wielki błysk, pojawiają się i zaraz znikają niekończące się lotne piaski. A ja nie chcę umierać.

...

9.

– O niektórych rzeczach trudno pisać. Kiedy coś ci się przydarzy, idziesz o tym napisać i albo dramatyzujesz, albo opisujesz lekceważąco, przesadnie podkreślasz to, co złe, albo ignorujesz to, co ważne, w każdym razie nigdy nie opiszesz tego tak, jak byś chciała. Właśnie usiadłam, żeby opisać, co mi się przydarzyło dziś po południu. Nie mogę powiedzieć matce¹; w każdym razie jeszcze nie teraz. Była u mnie w pokoju, kiedy wróciłam, i przerzucając ubrania, nawet nie wyczuła, że coś się stało. Wciąż tylko zrzędziła i gadała i tak dalej, więc nie mogłam jej zatrzymać, żeby jej powiedzieć. Nieważne, jak się o tym dowie, muszę to opisać.

Na farmie² padało przez całe popołudnie, było zimno i mokro. Przykryłam włosy wzorzystą jedwabną chustką, a na koszulę włożyłam czerwoną kurtkę z ortalionu. Całe popołudnie przepracowałam przy fasoli i zebrałam ponad trzy buszle³. Była już piąta, więc ludzie zbierali się i ja też czekałam przy samochodach na podwiezienie do domu. Właśnie przyszła Kathy i wsiadając na rower, zawołała: „Ilo idzie!”

Spojrzałam i w samej rzeczy siedł w swojej starej koszuli koloru khaki i białej chustce, którą zawsze nosił na głowie. Od czasu, jak pracowaliśmy razem na polu truskawek, często rozmawialiśmy, dał mi też rysunek farmy narysowany pewnie i szczegółowo. Ostatnio szkicował jednego z chłopaków.

Więc zawołałam:

– Skończyłeś już rysunek Johna?

– Ach, *ja, ja*. – Uśmiechnął się. – Chodź zobacz, ostatnia szansa.

Obiecał, że pokaże mi, gdy skończy, więc go dogoniłam. Szedł do stodoły, gdzie mieszkał. Po drodze minęliśmy Mary Coffee. Czułam, że patrzy na mnie jakoś dziwnie i nie chce spojrzeć mi w oczy.

¹ Matka – Aurelia Schober Plath (1906–1994); w latach 1942–1971 wykładowca College of Practical Arts and Letters, części Uniwersytetu Bostońskiego.

² Lookout Farm w South Natick w stanie Massachusetts, gdzie Plath pracowała latem 1950 roku.

³ Jednostka objętości ciał sypkich stosowana w krajach anglosaskich; buszel amerykański to około 35 litrów.

– Cześć, Mary – odezwał się Ilo.

– Cześć, Ilo – powiedziała Mary dziwnie beznamietnym głosem.

Minęliśmy Ginny, Sally i grupę dzieci chowających się przed deszczem w szopie na traktor. Zaczęły krzyczeć i wyśpiewywać: „Ach, Sylvia!”. Spiekłam raka.

– Czemu mi dokuczają? – zapytałam. Ilo tylko się zaśmiał, szedł bardzo szybko.

– Zaraz wracamy do domu – krzyknął Milton z umywalni.

Skinęłam mu i poszłam dalej, spuściwszy wzrok. Doszliśmy do stodoły. Była wielka, wysoka, pachniała końmi i mokrym sianem. Panował tu półmrok, wydawało mi się, że widzę czyjąś postać za przegrodami dla koni, ale nie byłam pewna. Ilo bez słowa zaczął wspinać się na wąskie drewniane schody.

– Mieszkasz tam? Tak wysoko?

Wspinał się dalej, więc poszłam za nim, lecz zawahałam się na samej górze.

– Wejdz, wejdz – powiedział, otwierając drzwi swojego pokoju. Wewnątrz zobaczyłam ten rysunek. Weszłam do środka. Była to wąska klitka z dwoma oknami, stołem pełnym przyborów do rysowania i pryczą przykrytą czarnym kocem. Na stoliku z radiem leżały pomarańcze i stał dzban mleka.

– Proszę. – Podniósł rysunek: dobry ołówkowy szkic głowy Johna.

– A niech mnie! Jak to zrobiłeś? Brzegiem ołówka?

Wtedy nie zwróciłam na to uwagi, ale teraz pamiętam, że Ilo zamknął drzwi i włączył głośno muzykę z radia.

Mówił bardzo szybko, pokazując mi ołówek.

– Widzisz, tu się wyciąga rysik, tak daleko, jak chcesz. – Czułam wyraźnie jego bliskość, śmiało patrzył na mnie niebieskimi oczami. Były przerażająco blisko i patrzyły na mnie wesoło.

– Muszę już iść, będę na mnie czekać – powiedziałam. – Rysunek jest bardzo ładny.

Uśmiechając się, stanął pomiędzy drzwiami a mną. Ruch. Jego ręka objęła me ramię i nagle jego usta znalazły się przy moich, twarde, gwałtowne. Wcisnął język między moje wargi i otoczył mnie żelaznym uściskiem.

– Ilo! Ilo! – Nie wiem, czy krzyczałam, czy szeptałam, próbując się uwolnić. Moje ręce dziko i bezskutecznie walczyły z jego siłą. W końcu puścił mnie i odsunął się, a ja położyłam dłoń na ciepłych i obolałych od pocałunku ustach. Spojrzał na mnie pytającym wzrokiem, jakby z zaskoczeniem i rozbawieniem, gdy zobaczył, że płaczę i boję się. Nikt mnie przedtem tak nie całował. Stałam tak, ogarnięta tęsknym, elektrycznym drżeniem.

– No już, już – mruknął, starając się mnie uspokoić. – Dam ci wody.

Nalał mi szklanekę, wypilałam. Potem otworzył drzwi, a ja, potykając się, zesłam po schodach. Ze spuszczonego wzrokiem minęłam Maybelle i Roberta,

murzyńskie dzieci, które wołały mnie sepleniącymi głosikami, i Mary Lou, ich milczącą ciemnoskórą matkę, która stała dalej.

Wysłałam na dwór. Zza stodoły wyjechała ciężarówka - - - to Bernie, ten okropny, umięśniony, niski chłopak z umywalni. W jego błyszczących oczach malowała się złośliwa satysfakcja. Jechał szybko i nie mogłam go dogonić. Czy był w stodole? Czy widział, jak Ilo zamyka drzwi? Jak ja wychodzę? Chyba musiał wiedzieć.

Minęłam umywalnię i poszłam do miejsca, gdzie stały samochody. „Czemu płaczesz?” – krzyknął Bernie. Nie płakałam. Traktorem nadjechali Kenny i Freddy, a grupa chłopaków, idących do domu, gapiała się na mnie z błyskiem w oczach. „Pocałował cię?” – zapytał jeden z nich, uśmiechając się porozumiewawczo.

Było mi niedobrze. Nie chciałam z nikim rozmawiać, nie mogłabym się odezwać. Głos uwiązał mi w gardle jak coś gęstego i włochatego.

Pan Tompkins podszedł do dystrybutora, żeby popatrzeć, jak Kenny i Freddy uruchamiają swój stary samochód. Starali się być mili, ale wiedzieli. Wszyscy wiedzieli.

– Idzie nasza ślicznotka – powiedział Kenny.

– Ślicznotka, anielica! – dodał Kenny.

Stałam tak, z założonymi rękami, patrząc na obracający się silnik i uśmiechając się jak gdyby nigdy nic.

W drodze powrotnej Milton siedział obok mnie na tylnym siedzeniu, a David i Andy z przodu. David kierował. Wszyscy spoglądali na mnie z tym błyskiem tańczącym w oczach. David odezwał się bezbarwnym, sztucznie spokojnym głosem.

– Wszyscy was widzieli z umywalni, jak szliście do stodoły. Nabijali się.

Milton zapytał o szkic, więc porozmawialiśmy trochę o sztuce rysunku. Wszyscy byli tacy mili. Myślę, że z ulgą dowiedzieliby się, że ledwie, ale jednak uciekłam. Oczekiwali też pewnie, że będę płakać. Ale wiedzieli, wszyscy wiedzieli.

A teraz jestem w domu. Jutro muszę stawić czoło wszystkim na farmie. Boże mój, przecież to mógłby być sen, teraz prawie wierzę, że to był sen. Jutro będą mnie obgadywać i chciałabym umieć obrócić to wszystko w żart, dać ciętą odpowiedź, ale za bardzo się boję. Gdyby tylko mnie nie pocałował – teraz będę musiała kłamać, że nie. Ale oni i tak wiedzą, wszyscy wiedzą. Co mogę zrobić przeciw tylu ludziom...?

...

10.

– Dziś rano poszłam wyrwać dwa zęby mądrości z lewej strony. Weszłam do gabinetu o dziewiątej. Szybko, czując nieuchronność przeznaczenia, usiadłam na

fotelu, rozejrzawszy się przedtem ukradkiem wokoło w poszukiwaniu typowych narzędzi tortur, na przykład młota pneumatycznego albo maski przeciwigazowej. Niczego takiego nie było. Lekarz założył mi śliniak, oczekiwałam, że zaraz włoży mi w usta jabłko i posypie głowę pietruszką, ale nie. Zapytał tylko: „Gaz czy nowokaina?”. (Gaz czy nowokaina. He, he! Pani zobaczy, co mamy na składzie: śmierć od ognia lub wody, od pocisku lub od stryczka. Wszystko dla naszych klientów). „Gaz”, powiedziałam zdecydowanym głosem. Pielęgniarka podeszła od tyłu i założyła mi gumową maskę na usta i nos. Poczułam rurki pijące mnie w policzek, co było przyjemne. „Proszę spokojnie oddychać”. Gaz sączył się, dziwnie słodki i mdły. Staralam się nie opierać jego działaniu. Dentysta włożył mi coś do ust i gaz zaczął wpływać, łąpałam go wielkimi haustami. Wpatrywałam się w lampę, światło zadrgało i rozpadło się na malutkie kawałeczki. Jakby cała konstelacja rozjarzonych punkcików ułożyła się w drgający łuk. Drgał najpierw powoli, potem coraz szybciej. Coś tłoczyło powietrze do mych płuc, wydając świszczący dźwięk przy wydechu. Sama nie musiałam już oddychać. Czułam, że usta wykrzywia mi uśmiech. Więc tak to wygląda... to takie proste, nikt mi nie mówił. Musiałam o tym napisać, opisać, jak to jest, zanim stracę przytomność. Wydawało mi się, że moja prawa dłoń była zakończeniem łuku, jakby bieguna  i gdy tylko próbowałam ułożyć dłoń do pisania, łuk kołysał się z powrotem, coraz szybciej. Sprytnie to zrobili, pomyślałam. Nie dadzą tego nawet zapisać, to uczucie musi pozostać tajemnicą. Nagle znalazłam się na statku piratów, zza koła sterowego wpatrywał się we mnie kapitan, obracając je od czasu do czasu. Wokół wznosiły się kolumny czarnych i zielonych liści, a kapitan wołał: „Proszę zamknąć, tylko spokojnie, spokojnie”. A potem przez żaluzje wtargnęło światło i odetchnęłam ciężko, wypełniając płuca powietrzem. Zobaczyłam swoje stopy i ramiona, całą siebie. Desperacko spróbowałam wrócić do swojego ciała... ale do mych stóp było tak daleko. Podniosłam ręce do twarzy; trzęsły się. Już koniec... do następnej soboty. –

...

11.

Emile. Oto jego imię. Co mam powiedzieć? Że odwiedził mnie o dziewiątej w sobotni wieczór, że wciąż byłam słaba po wyrwaniu dwóch zębów mądrości rano. I mogę powiedzieć, że poszliśmy na podwójną randkę na tańce w barze Ten Acres, że wypiliśmy pięć szklanek, przez cały wieczór, do dna, żółtej lemoniady imbirowej, a inni pili piwo. Ale nie o to chodzi. Zupełnie. Było tak: ubierałam się powoli, kremowałam, perfumowałam, pudrowałam, siedząc na górze w półmroku deszczowego popołudnia, podczas gdy reszta rodziny była z gośćmi na werandzie, śmiali się i rozmawiali. Oto ja, pomyślałam, amerykańska dziewczyna, ubrana, żeby uwodzić. Wiem, że wychodzę, by spędzić wieczór pełen seksual-

nych przyjemności. Chodzimy na randki, zabawiamy się i jeśli jesteśmy grzeczne, w pewnym momencie odmawiamy. Tak to jest. Poszliśmy we czworo do tego baru i usiedliśmy razem. E. i ja musieliśmy przełamać pierwsze lody, więc zaczęliśmy rozmawiać - - - o pogrzebie, na którym był rano, o jego dwudziestoletnim kuzyńce, który złamał kręgosłup i będzie przez całe życie sparaliżowany, o jego siostrze, która zmarła na zapalenie płuc, kiedy miała dwanaście lat.

- O Boże, ale ponure tematy - wzdrygnął się, a potem nagle dodał: - Wiesz, co zawsze mi się podobało... to znaczy chciałem, żeby mi się podobało? Czarne oczy i włosy blond.

Węc zaczęliśmy rozmawiać o błahych rzeczach, na przykład o tym, jak słowa tracą znaczenie, gdy się je w kółko powtarza, albo że wszyscy Murzyni wyglądają podobnie i rozróżniamy ich dopiero po bliższym poznaniu, albo jak to lubimy mieć tyle lat, ile teraz mamy.

- Żał mi Warriego - powiedział, patrząc na drugiego chłopca. - Ma dwadzieścia dwa lata, skończył Amherst i będzie musiał pracować przez resztę życia. Jak sobie pomyśle... Jeszcze tylko dwa lata na uczelni!

- Wiem, zawsze bałam się kolejnych urodzin.

- Wyglądasz na starszą, niż jesteś.

- Nie rozumiem - odpowiedziałam - jak ludzie mogą znieść starość. Wewnętrzności wysychają. A kiedy jest się młodym, można polegać na sobie. Niepotrzebna jest nawet religia.

- Nie jesteś przypadkiem katoliczką? - zapytał tak, jakby było to mało prawdopodobne.

- Nie, a ty?

- Tak - odpowiedział przytłumionym głosem.

Potem gadaliśmy jeszcze trochę o niczym, bardziej zajęci śmiechem, znaczącymi spojrzeniami i niewypowiedzianym fizycznym napięciem, które dodaje uroku każdemu podbojowi. Atmosfera emanowała męskością, a ja w takim klimacie czuję się najlepiej. Tego wieczora Emile miał w sobie to coś, odrobinę powagi, jakiś magnetyzm, chemię, przystającą jak ułaj do mojego nastroju. Ma ładną twarz, ciemne włosy i oczy z wielkimi źrenicami; potrafi się tak nagle uśmiechnąć w jedną stronę, ma prosty nos i ładnie ukształtowaną brodę. Jest przystojny, ma małe wrażliwe ręce. Wiedziałałam, że to właśnie tak się stanie. Na parkiecie przytulał mnie mocno, tak że czułam jego twardy członek i ocierałam się o jego tors piersiami. Coś jakby ciepłe wino przepływało przeze mnie, jak przytłumiona, elektryzująca senność. Przyciskał twarz do mych włosów, całował mnie w policzek.

- Nie patrz na mnie, byłem przedtem na basenie, jestem mokry i gorący.

(O rany, wiedziałam, że tak będzie). Wpatrywał się we mnie pytającym wzrokiem i nasze spojrzenia się spotkały. Dwa razy zapadłam się w jego ramiona, tonęłam, aż odwrócił wzrok. O północy, w drodze do domu Warriego, całował mnie, pamiętam jego wilgotne i delikatne usta na swoich. U Warriego wypiliśmy więcej lemoniady i piwa i tańczyliśmy w półmroku na werandzie. Czułam ciepłe i twarde ciało Emile’a, kołyszące się do przodu i do tyłu w takt cichej, zmysłowej muzyki. (Taniec jest zazwyczaj preludium do stosunku; wszystkie te kursy tańca, kiedy byliśmy za mali, żeby zrozumieć, a teraz to).

Emile spojrzał mi nagle w oczy.

– Powinniśmy usiąść, wiesz?

Potrząsnęłam głową.

– Nie? – zapytał. – A może chcesz trochę wody? Może źle się czujesz?

(Dobrze się czuję, pewnie, że dobrze, dziękuję). Pokierował mną do kuchni, zimnej, wypełnionej zapachem linoleum i szumem deszczu za oknem. Usiadłam i sączyłam wodę, którą mi przyniósł, podczas gdy on stał nade mną i patrzył z góry. Jego rysy wyglądały obco w półmroku. Odstawiłam szklankę.

– Pospieszyłem się trochę – powiedział. – Może nie powinienem był od razu posuwać się tak daleko?

Wstałam i nagle tuż przede mną pojawiła się jego twarz. Otoczył mnie ramionami. Odczekałam chwilę i odepchnęłam go.

– Ten deszcz jest dość przyjemny. Wystarczy posłuchać, żeby poczuć się lepiej wewnątrz. Daje uczucie jedności z żywiołem – powiedziałam. Stałam oparta o zlew, a Emile tuż przy mnie, z roziskrzonymi oczami. Jego usta były tak zmysłowe i piękne.

– Masz mnie gdzieś – powiedziałam z rozmysłem. – Chcesz mnie tylko fizycznie.

Każdy chłopak by zaprzeczył, to znaczy każdy rycerski chłopak, każdy rycerski kłamca. Ale Emile potrząsnął mną i zaczął mówić gwałtownym głosem.

– Nie powinnaś była tego mówić, wiesz? Wiesz? Prawda zawsze rani.

(No proszę, nawet frazesy się czasem przydają).

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie miej żalu. Ja nie mam. Odejdź od zlewu, zobacz.

Cofnął się i pociągnął mnie za sobą, a potem pocałował długo i słodko.

– No – powiedział, gdy mnie w końcu puścił. – Prawda nie zawsze rani, co nie?

I tak poszliśmy do domu. Łało jak z cebra. W samochodzie objął mnie ramieniem, oparł swoją głowę o moją i patrzyliśmy razem na sunące na nas, rozmyte i zamglone światła latarni. Kiedy potem biegliśmy w deszczu do drzwi, kiedy

wszedł na chwilę, żeby napić się wody, kiedy pocałował mnie na pożegnanie, wiedziałam, że coś we mnie pożąda go, choć sama nie wiem dlaczego. Przecież on pali, pije, chodzi co chwila z inną dziewczyną, ale jednak... pożałowałam go.

– Nie muszę chyba mówić, że było przyjemnie – powiedziałam w drzwiach.

– Było cudownie. – Uśmiechnął się. – Zadzwoń. Trzymaj się.

I poszedł. A teraz deszcz tłucze o szyby, a ja, jak Eddie Cohen¹, pytam: „...piętnaście tysięcy lat --- czego? Wciąż jesteśmy tylko zwierzętami”. Gdzieś, w swoim pokoju, Emile zasypia, słuchając deszczu. Bóg jeden wie, o czym on teraz myśli.



12.

...

– Czasami ogarnia mnie uczucie oczekiwania na coś, jakby coś pod powierzchnią świadomości czekało na uchwycenie. Podobnie dręczące uczucie towarzyszy, gdy ma się czyjeś imię na końcu języka, ale nie można go sobie przypomnieć. Czuję się tak, gdy myślę o istotach ludzkich, o śladach ewolucji takich jak usunięte mi zęby mądrości, zwężanie się szczęki, która nie musi już żuć tak dużo błonnika jak kiedyś, stopniowy zanik owłosienia na ludzkim ciele, przystosowanie się oka do czytania druku, do szybkich, kolorowych poruszeń dwudziestego wieku. To uczucie, mgliste i nieuchwytnie, przychodzi, kiedy rozmyślam o długim dorastaniu naszego gatunku, o rytuałach narodzin, małżeństwa i śmierci, wszystkich tych barbarzyńskich ceremoniach, dostosowanych do naszych czasów. Niemal zdaje mi się, że pierwotna, bezrozumna, zwierzęca czystość była najlepsza. Ach, coś tam jest i czeka na mnie. Być może pewnego dnia doznam nagle objawienia i zobaczę drugą stronę tego monumentalnego, groteskowego żartu. I zaśmieję się wtedy. I zrozumiem, czym jest życie. –

...

13.

– Dziś w nocy chciałam wyjść na chwilę przed pójściem spać, bo w domu było tak cicho i duszno. W piżamie, ze świeżo umyтыми włosami w lokówkach, zesłam do drzwi i próbowałam je otworzyć. Zamek pstryknął tylko, gdy go przekreśliłam, spróbowałam więc gałki, ale drzwi nie chciały się otworzyć. Poirytowana, spróbowałam przekreślić gałkę w drugą stronę, bez skutku. Znów przekreśliłam zamek. Były tylko cztery możliwe kombinacje ustawień zamka i gałki, ale drzwi wciąż nie dawały się otworzyć, białe, obojętne, zagadkowe. Spojrzałam do góry. Przez okienko wysoko w drzwiach zobaczyłam kwadrat nieba, podziurawio-

¹ Edward M. Cohen (1928–2008) z Chicago; korespondował z Plath od 1950 do 1954 roku, spotkali się w czasie ferii wielkanocnych w 1951 i 1952 roku.

ny przez ciemne ostrza sosen rosnących po drugiej stronie ulicy. Za drzewami wisiał księżyc, niemal w pełni, świetlisty i żółty. Nagle straciłam oddech, zaczęłam się dusić. Byłam w pułapce, mamiona przez mały kwadrat nocy nad sobą, a ciepła, kobieca atmosfera domu otaczała mnie gęstym, puchowym, duszącym uściskiem. –

...

14.

– Od rana chandra. W nocy nie spałam dobrze, budziłam się, obracałam w łóżku. Miałam krótkie, bezsensowne, wstrętne sny. Obudziłam się z ciężką głową, z uczuciem, jakbym właśnie wyszła z basenu pełnego brudnej, ciepłej wody. Skórę miałam natłuszczoną, włosy sztywne i lepkie, a na dłoniach czułam jakby warstwę śluzowatego brudu. Do tego jeszcze to gęste, sierpniowe powietrze. Siedzę, czuję się jak gruda, coś mnie boli w szyi z tyłu. Czuję się tak, jakbym nigdy nie miała zmyć tej lepkiej, obrzydliwej błony ani grubej warstwy osadu na nieumytych zębach. –

...

15.

– Dziś wieczorem, przynajmniej na chwilę, ogarnął mnie wreszcie spokój. Wyszłam z domu stojącego po drugiej stronie ulicy krótko przed północą, chora z tęsknoty, samotna, zła na siebie. I nagle, jak cud, sierpniowa noc. Właśnie przestało padać i powietrze było aż gęste od wilgoci i ciepłej mgły. Księżyc w pełni, nabrzmiały światłem, wyglądał zza przesuwających się chmur. Przypominały szyby kawałki układanki. Wydawało się, że nie ma wiatru, ale liście na drzewach drżały niespokojnie i wielkimi kroplami spadała z nich woda, która uderzając o chodnik, wydawała taki dźwięk, jakby ktoś szedł ulicą. Czuć było charakterystyczny zapach pleśni i gnijących liści. Wokół pary światel nad frontowymi drzwiami, otoczonej obłoczkiem mgły, zrobiło się halo. Siatkowe drzwi zamykały drogę rojom delikatnych muszek, oślepionych i ogłupionych blaskiem. Błyskało, jakby ktoś bawił się światłem w teatrze. Głęboko w szczelinie kamiennych schodków dwa świerszcze śpiewały słodko i cicho, a ponieważ śpiewały pod drzwiami mojego domu, kochałam je. Podczas gdy gęste powietrze opływało mnie jak melasa, księżyc i światła latarni rzucały groteskowe cienie, które rozszczepiały się jak niebieskie, schizofreniczne widziadła i powtarzały się nieśmiało. –

...

16.

– W łazience na górze, białej, sterylnej, pachnącej ciepłem ciała i pastą do zębów, pochyliłam się nad umywalką i rozpoczęłam codzienny, bezmyślny rytuał higieny, ku czci błyszczących, chromowanych kurków i biegającego po nich światła. Ciepła – zimna; czystość w pachnących, zielonych kostkach; włosy wiją się jakby

narysowane na białej emalii; kolorowe etykiety na buteleczkach i słoiczkach, niezawodne buteleczki na przeziębienie, niezawodne buteleczki na sen. A potem do łóżka, potencjalna płodność w powietrzu, zapach lawendy, zasłonki i ten ciepły, koci, pizmowy zapach, czekający, by cię przyjąć --- wszędzie odrętwiałe czekanie. A ty jesteś chodzącym przykładem tego wszystkiego. Z ciebie, przez ciebie, dla ciebie. Boże, czy to już wszystko, co jest? Mam tak zawsze lecieć korytarzem śmiechu i łez, objając się o ściany? Uwielbienia i nienawiści do siebie? Chwały i obrzydzenia? –

...

17.

– Mała rzecz, jak dzieci wkładające mi we włosy kwiaty, może zabiłżnić niczym balsam coraz bardziej jątrzące się rany na mojej pewności siebie. Zaniepokojona, przestraszona i niezadowolona siedziałam dziś na schodkach przed progiem, kiedy nadszedł Piotruś¹ (syn sąsiadów), chłopczyk o ptasiej twarzy, poważnych niebieskich oczach i wstydlwym, bladym uśmiechu. Razem z nim przysła jego uroczą siostrę Libby, miała płowe warkoczki i jędrne, wdzięcznie uformowane ciało. Stali chwilę, wstydząc się, aż Piotruś zerwał białą petunię i włożył mi ją we włosy. Tak rozpoczęła się czarująca zabawa, podczas której ja siedziałam nieruchomo, a Libby biegła tam i z powrotem, przynosząc petunie, Piotruś zaś stał przy mnie, układając kwiaty. Zamknęłam oczy, by dokładniej czuć cudowne, delikatne rączki dziecka, układające kwiat za kwiatem w moich lokach.

– A teraz biała – sepienił cichutko i czule.

Różowa, karmazynowa, szkarłatna, biała... delikatny, stłumiony, duszący, słodki zapach petunii koił wszystkie moje rany. Coś w szczerych, niewinnych, niebieskich oczach, w pięknych ciałkach dzieci, w ulotnym zapachu umierających kwiatów poraziło mnie jak czyste i szybkie cięcie nożem. Krew miłości zaczęła wzbierać w moim sercu jak tępy ból.

...

18.

– Już nigdy go nie zobaczę i może to i dobrze. Wczoraj w nocy opuścił me życie na zawsze. Odczuwam mdlącą pewność, że to już koniec. Mieliśmy tylko dwie randki, potem spotkaliśmy się, kiedy przyszedł z chłopcami, i jeszcze raz tej nocy. Mimo to spodobał mi się za bardzo --- o wiele za bardzo i wyszarpnęłam go ze swego serca, żeby później nie bolało mnie to bardziej niż teraz. Tak, ma magnetyczny

¹ Dzieci sąsiadów Plath, C. Duane'a Aldricha i Elizabeth Cannon Aldrich. Państwo Aldrich mieszkali w Wellesley naprzeciwko Plath, pod nr. 23 na Elmwood Road, i mieli dziewięcioro dzieci o imionach Duane, Peter, Stephen, John, Mark, Elizabeth, Ann, Amy i Sarah.

urok, można by się zakochać w samych jego oczach. Trzeba przyznać, że jego seksapil był nieodparcie silny. Chciałam go poznać --- myśli, ideały kryjące się za przystojną, pewną siebie, ironiczną maską.

– Zmieniłem się – powiedział mi, kiedy siedzieliśmy na werandzie. – Polubiłabyś mnie trzy lata temu. Teraz jestem spryciarzem.

Siedzieliśmy tak od kilku godzin, rozmawiając i patrząc przed siebie. Przyciąganie pomiędzy nami wzrastało, jego bliskość mnie elektryzowała.

– Nie widzisz – zapytał – że chcę cię pocałować?

Więc pocałował mnie żarliwie, z zamkniętymi oczami. Czułam jego rękę, jak łuk ognia wchodzący w mój brzuch.

– Chciałabym cię nienawidzić – powiedziałam.

– To dlaczego przysłaś?

– Dlaczego? Chciałam twojego towarzystwa. Alby i Pete szli na mecz, a ja nie miałam na to ochoty. Warrie i Jerry chcieli się gdzieś napić, na to też nie miałam ochoty.

Było po jedenastej, wyszliśmy z werandy w chłodną, sierpniową noc.

– Chodź – powiedział – powiem ci coś na ucho. Lubię cię, ale nie za bardzo. Nie chcę nikogo polubić za bardzo.

Uderzyło mnie to i po prostu wygadałam się:

– A ja albo kogoś lubię za bardzo, albo w ogóle. Muszę głęboko, naprawdę głęboko zanurzyć się w drugiej osobie, żeby ją dobrze znać.

Stanowczym głosem odparł:

– Mnie nikt nie pozna.

A więc to był koniec.

– W takim razie żegnaj – odparłam. – Na zawsze.

Spojrzał na mnie twardym wzrokiem, uśmiechając się krzywo.

– Masz szczęście, dziecino, nawet nie wiesz, jakie szczęście.

Plakałam cicho, wykrzywiając twarz.

– Przestań płakać! – Jego słowa jak noże, a potem delikatne: – Gdybym cię już nie zobaczył, to życzę szczęścia w college’u.

– Życzę ci cholernie szczęśliwego życia – odparłam.

Odszedł po chodniku sprężystym krokiem, niezależny, a ja stałam tak, jak mnie zostawił, drżąc z miłości i tęsknoty, płacząc w ciemności. Trudno mi było zasnąć tamtej nocy.

...

19.

– Ktoś dziś zadzwonił do drzwi i okazało się, że to Piotruś, więc wyszłam na schodki i usiadłam z nim. Mogłabym tak siedzieć godzinami i słuchać jego paplania. Był zazdrosny o Boba, zapytał cicho ze ściśniętym gardłem:

– Kim był ten chłopiec przed twoim domem? Kogo lubi bardziej, Warrena¹ czy ciebie? – Na chwilę zamilkł, a potem dodał: – Powiedział do mnie „ty gówniarzu”. Gdybyś ty miała dziecko, to też byś mówiła na nie „gówniarz”? Nie jestem opalony – kontynuował. – To brud. Nie lubię koloru brudu, ale lubię czuć go na skórze. Czysta skóra jest nieprzyjemna, bo jest cała mokra.

Poszedł bawić się z Warrenem. Kiedy wróciłam do swego pokoju, usłyszałam hałas na zewnątrz. Piotruś wspinał się na gałąź klonu aż pod moje okno i strząsał liście. –

...

20.

Z listu do Eda – „Właśnie nadszedł twój list... Ten o twoim spacerze po mieście, o wojnie. Nie wiesz nawet, jak wielkie zrobił na mnie wrażenie. Mój anormalny strach, zwykle zdławiony i czający się na drugim planie, znów dał o sobie znać i chwycił mnie tak, że mam mdłości i nie mogłam nawet tknąć śniadania.

Spójrzmy prawdzie w oczy: boję się, boję się i jestem sparaliżowana strachem. Najbardziej boję się o siebie... stary, prymitywny instynkt przetrwania. Przez to żyję intensywnie, każdą chwilą. Wczoraj wieczorem, wracając z Bostonu, leżałam na tylnym siedzeniu samochodu i pozwalałam przesuwac się po mnie światłom latarni, muzyce z radia i odbiciu faceta, który kierował. Wszystko to przelatowało nade mną z krzykiem przeraźliwego bólu... pamiętaj, pamiętaj, to jest ta chwila, teraz, teraz i teraz. Przeżyj ją, poczuj, trzymaj się jej. Chcę w pełni uświadomić sobie istnienie rzeczy, których dotąd nie zauważałam. Kiedy czujesz, że to może być pożegnanie, ostatni raz, uderza cię to jeszcze bardziej.

Muszę sobie coś znaleźć. Chcę zatrzymać to wszystko, cały ten monumentalny, groteskowy żart, zanim będzie za późno. Tylko że pisanie wierszy i listów nie za bardzo pomaga. Wielcy ludzie są głusi; nie chcą słyszeć głosu kwilącego im pod ciężkim butem, kiedy przechodzą przez ulicę. Ed, pewnie to wszystko brzmi po wariacku. Bo chyba jestem szalona. Kiedy widzę matkę, dziecięcy symbol bezpieczeństwa i słuszności, płaczącą samotnie w kuchni; kiedy widzę swojego wysokiego brata, o rozmarzonych oczach, i myślę, że wszystkie jego naukowe uzdolnienia zostaną zduszone w zarodku, zanim będzie miał szansę je rozwinąć... wtedy, jak by to powiedzieć, dopada mnie to. –

...

¹ Warren Joseph Plath (ur. 1935), brat Plath; absolwent Phillips Exeter Academy w Exeter w stanie New Hampshire; od 1957 roku wykładowca College'u Harvarda; stypendysta Fulbrighta w Bonn w latach 1957–1958; doktorat obronił w 1964 roku na Uniwersytecie Harvarda.

21.

– Oto siedzę w głębokim, miękkim fotelu, a za oknem skrzypią, cykają i gwarzą świerszcze. Biblioteka, mój ulubiony pokój; na podłodze kamienna mozaika w kolorach starych książek... rdzawe, miedziane, żłopotomarańczowe, szarobrązowe, kasztanowe kwadraty. Wokół wygodne fotele z kasztanowej skóry, która obłazi, ukazując śmieszny, żyłkowaty, różowy wzór pod spodem. Książki na półkach, wszystkie, jakie tylko potrzebujesz, by wypełnić czymś deszczowe dni; wyświechtane okładki spoglądają przyjaźnie. Siedzę tak z uśmiechem na ustach, snując, jak to ja, urywane myśli: „Kobieta jest tylko maszyną ekstazy, naśladowczynią Ziemi, od czubków kręconych włosów aż po czerwono lakierowane paznokcie”. Potem, wspominając gromadkę pięknych dzieci śpiących na górze, myślę: „Czyż nie lepiej poddać się przyjemności rytmu rozrodu, spokoju, pokrzepiającej obecności męża w domu?”. Pamiętam Liz, jej bladą twarz, delikatną jak popiół rozsypany na wietrze, jej szminkę na papierosie, którego paliła, jej pełne piersi pod obcisłą bluzką. Powiedziała mi: „Pomyśl tylko, jak bardzo będziesz mogła kiedyś uszczęśliwić mężczyznę”. Zgadza się, myślę, jak dotąd idzie mi dobrze. Ale nagle jakby coś mi przeskakuje w głowie i widzę E., jak idzie na mecz, ogląda telewizję albo, powiedzmy, razem z chłopakami śmieje się głośno i beztrosko z jakiegoś świńskiego dowcipu, a wokół nich wszędzie leżą puszki po piwie i popielniczki. Więc wracam do siebie w tej bibliotece, chora z tęsknoty, płynę, tonę. Mam w sobie za dużo sumienia, żeby łamać obyczaje bez katastrofalnych skutków; mogę tylko stać przed tą barierą i zazdrościć, nienawidzić chłopaków, którzy mogą swobodnie, bez wątpliwości zaspokajać głód seksu i pozostać sobą, podczas gdy ja łażę na coraz to nowe randki, omdlewam z pożądania i zawsze wracam niespełniona. Aż mnie mdli od tego wszystkiego. –

...

22.

– Tak, byłam w tobie zadurzona; wciąż jestem. Nikt dotąd nie obudził we mnie tak wielkiej fizycznej wrażliwości. Rzuciłam cię, bo nie mogłam znieść tego, że jestem tylko przelotną zachcianką. Zanim oddam swoje ciało, muszę oddać myśli, rozum, marzenia. Ty nic z tego nie dostałeś. –

...

23.

– Tak bardzo rani ta gra w poszukiwanie partnera, te podchody, testy i próby. Nagle zdajesz sobie sprawę z tego, że zapomniałaś, że to gra, i odwracasz się ze łzami w oczach. –

...

24.

– Gdybym nie myślała, byłabym znacznie szczęśliwsza; gdybym nie miała narządów płciowych, to nie byłabym cały czas na skraju załamania nerwowego i łez. –

...

25.

– B. wraca do domu, będzie tylko dla mnie i choć na chwilę będę bezpieczna. Tak bardzo potrzebujemy takiego bezpieczeństwa! Tak bardzo potrzebujemy bratniej duszy, do której można się przywiązać, ciała, które nas ogrzeje. Odpocząć i zaufać komuś, powierzyć swoją duszę w zaufaniu: potrzebuję tego; potrzebuję kogoś, w kogo będę mogła się wlać, może mężczyzny. Jedno wiem, jeszcze takiego nie spotkałam... –

...

26.

– Po pewnym czasie może przyzwyczaję się do perspektywy małżeństwa i dzieci. Żeby tylko nie pochłonęło to moich marzeń o wyrażeniu siebie, pogrążając w oparach przytulności i zmysłowości. Małżeństwo na pewno jest formą wyrażenia siebie, ale chciałabym, żeby moja sztuka, moje piarstwo nie były jedynie sublimacją popędu seksualnego, który wyschnie, gdy tylko wyjdę za mąż. Gdybym go znalazła... mężczyznę, który będzie inteligentny, a jednocześnie fizycznie pociągający i miły w obyciu. Skoro mogę zaoferować takie połączenie, to dlaczego nie mam go oczekiwać od mężczyzny? –

...

27.

– Działanie układu nerwowego jest rzeczywiście intrygujące i skomplikowane. Elektryczne sygnały telefonu przenikają mrowieniem ściany macicy; jego głos w słuchawce brzmi szorstko, obcesowo i intymnie, aż kurczą mi się jelita. Gdyby w popularnych piosenkach zamiast słowa „Miłość” było „Pożądanie”, byłyby bardziej prawdziwe. –

...

28.

– Tylko kilka uwag o wieczorze, który rozpoczyna kolejny etap mojego dorastania: tym razem obyło się bez bólu, bez namiętności, bez ran. Czułam w sobie kręgosłup opanowania. Muszę trzymać się wspomnienia tego wieczora, bo za trzy dni wyruszę w zupełnie nowy świat, w którym będę musiała przezwyciężyć zamęt i dylematy, aby odzyskać wewnętrzną równowagę. Dziś wieczorem byłam jednak panią sytuacji. Po filmie godzinami chodziliśmy z Bobem w tłumie po ulicach Bostonu. Nie rozmawialiśmy. Czułam się sama, ale jego obecność była jak

eskorta... ktoś, kto prowadził mnie za rękę. Chłopiec, służył mi. Nie trzeba było się przekomarzać, za dobrze się na to znamy. Pozwoliłam światłom i twarzom przesuwąć się przede mną. Pozwoliłam nerwom wystukiwać sygnały w moim mózgu. Pozwoliłam na wszystko. Neony, różowe, zielone, żółte, zapalały się i gasły w określonym rytmie, każdy w swoim własnym tempie. Razem wykrzykiwały synkopowaną rapsodię kolorów. Twarze; kawiarnie; prędkość światła, stalowe samochody. Pęd; ruch. Stój; jedź. Błysk; już. Stop; start. Pozwoliłam Bobowi się prowadzić, nie patrzyłam, przechodząc przez ulicę. Wpatrywałam się w mijających mnie ludzi. Czasem spoglądali mi w oczy, ale zaraz odwracali wzrok zmieszani, jazz synkopował z ulicznych kawiarni, a marynarze wyglądali jak statyści z musicalu w technikolorze. Samo kino, z którego wyszliśmy, było pałacem z rzędami kryształowych żyrandoli, puszystych dywanów i lśniących srebrnych luster. Szłam tak, narcystycznie kochając swoje odbicie w oknach wystaw, w chromie na samochodach, nałożone na wszystko, co mijaliśmy. Oto ja, wysoka, jasnowłosa, w zielonym płaszczu i czarnej marszczącej spódnicy z tafty. Przeszliśmy przez skwer do ogrodów publicznych. Światła zamieniły miejską noc w dziwny, sztuczny półmrok. Zatrzymaliśmy się na kamiennym mostku i pochyliliśmy nad zieloną metalową barierką. W stawie, na ciemnym i miękkim tle płaczących wierzb, odbijały się światła. Woda, po której dryfowały puste łódki, wyglądała jak czarne szkło, a pływające po niej żółte liście przypominały confetti pozostawione po przyjęciu na marmurowej podłodze. Stałam tak, całkowita, pełna w sobie, i rozmawiałam z nim; powiedziałam mu, o czym myślę. Nie zrozumiał mnie, ale słuchał i podobałam mu się. „Kocham ludzi – powiedziałam. – Mam w sobie miejsce na miłość i na więcej niż jedno małe życie”. Pomyślałam, że jeszcze rok temu byłabym porażona czystym zdumieniem, czystą radością, gdybym wiedziała, że będę stać tu z Bobem i sprawię, że będzie mnie kochał. Ale teraz tylko uśmiechałam się z bezosobową czułością. Miałam na ręce bransoletkę od Eddiego. Podniosłam ją do światła. „Widzisz – powiedziałam. – Kocham ją. To ja. Moja indywidualność”. Srebro skrzyło się białymi iskierkami. Metal dotykał mojej skóry i był ciepły. Eddie, pomyślałam. Jakież to ironiczne. Jesteś jak sen; mam nadzieję, że nigdy cię nie spotkam. Ale twoja bransoletka to symbol mojego opanowania... mojego oddzielenia od tego wieczora. Kocham cię, bo jesteś... moim pisaniem, moim marzeniem o wielu życiach. Będę małą boginią, na swój mały sposób. W domu na biurku leży najlepsze opowiadanie¹, jakie kiedykolwiek napisałam. Jak mam powiedzieć Bobowi, że moje szczęście bierze się

¹ Opowiadanie *Den of Lions (W paszczy lwa)* zajęło trzecie miejsce w konkursie czasopisma „Seventeen” i ukazało się w numerze z maja 1951 roku.

stąd, że wrywam kawałek własnego życia, kawałek piękna i bólu, i przerabiam go na kartkę maszynopisu? Ma wiedzieć, że żyję po to, żeby przemienić swoje życie, swoje niespokojne emocje, swoje uczucia w druk? Poszliśmy potem dalej, do restauracji. Jedząc hamburgera, wpatrywałam się w siedzącego tam staruszka. Miał czerwoną twarz, był smutny. Koncentrowałam się intensywnie. Człowieku, kocham cię. Wyciągam do ciebie dłoń. Kocham cię. Wracaliśmy do samochodu szerokimi, chłostanymi wiatrem ulicami, ciemność była szara. Spojrzałam w dół alei: piękna czerń, rozrzucone papiery. Zaczarowane miasto. „Mogłabym tańczyć na ulicach”, powiedziałam do Boba. Byłam dla niego słodka w drodze do domu. To pożegnanie, koniec cyklu, a on nie mógł o tym wiedzieć. Myślał, że wciąż może mieć nadzieję. W samochodzie, po tym jak pozwoliłam mu się trochę pocałować, zapytał: „To zawsze musi się kończyć, prawda? Zawsze musimy się rozstawać”. „Tak”, odpowiedziałam. Był natarczywy: „Przecież nie zawsze musi tak być. Kiedyś moglibyśmy być ze sobą na zawsze”. „O nie”, odpowiedziałam, zastanawiając się, czy wie, że to już koniec. „Wciąż uciekamy, aż do śmierci. Rozdzielamy się, oddalamy od siebie, aż umieramy”. Nie ma domu, jest nieszczęśliwy. Mogłabym być źródłem jego radości, jego schronieniem. Ale mogę tylko iść dalej. Coś we mnie chce więcej, nie mogę spocząć. Beznamiętnie pozwoliłam mu się pocałować. Ten wieczór był cudowny, kompletny. Byłam bardziej sama, niż gdybym poszła bez niego. Biedny chłopiec, trudno o miłszego. Być może pewnego dnia doczołgam się z powrotem do domu, pobita, pokonana. Ale nie dopóki umiem czerpać historie ze swojego złamanego serca, tworzyć piękno z cierpienia.

...

29.

– Dużo mogłabym dać komuś, kiedyś. Ale nie mogę być zbyt chrześcijańska. Na stałe mogę zostać tylko z jednym i muszę wielu zostawić za sobą na tej drodze. Na razie to wszystko. Być może kiedyś ktoś mnie zostawi na tej drodze. To będzie poetycka sprawiedliwość. –

...

30.

Paźdz.

– Wczoraj wieczorem mieliśmy pierwsze ćwiczenia przeciwpożarowe. Spałam, gdy nagle zaczęło szarpać mną metaliczne wycie syreny. Czułam się tak, jakby ktoś wydierał mnie ze straszliwych, czarnych ruchomych piasków. Najpierw pomyślałam, że to mój budzik zadzwonił o zły godzinie. Sięgnęłam nerwowo, żeby go wyłączyć, popędzana nieludzkim wyciem syreny, aż nagle zrozumiałam. Skoczyłam na równe nogi, złapałam ręcznik i płaszcz i wybiegłszy z pokoju, podążyłam z resztą dziewcząt na dół. Stałyśmy stłoczone w holu, każda w nie-

rzeczywistym, sennym osłupieniu. Uśmiechnęłam się do kogoś niewyraźnie. Po tym jak sprawdzono obecność, wróciłam na górę i z mocno nadszarpniętymi nerwami padłam na łóżko. Byłam rozgorączkowana, niespokojna. Więc tego mamy się nauczyć, by być częścią wspólnoty: ślepo, nieświadomie reagować na dźwięk elektrycznych syren wyjących w środku nocy. To okropne. Ale kiedyś będę musiała się nauczyć – kiedyś –

...

31.

– Dziś jestem brzydka. Zupełnie nie wierzę już, że mogłabym być pociągająca dla mężczyzn. Kontakty towarzyskie w stanie zaniku. Billa¹, mojego jedynego łącznika z życiem sobotniej nocy, nie ma i nikt inny mi nie został. Zupełnie nikt. Żadni ludzie mnie nie obchodzą i uczucie to jest, co oczywiste, odwzajemnione. Co sprawia, że przyciąga się innych? W zeszłym roku miałam kilku chłopców, którym spodobałam się z różnych powodów. Byłam pewna swojego wyglądu, swojego magnetyzmu, a moje ego było nasycone. Teraz, po trzech randkach w ciemno, z których dwie zakończyły się dokumentną kłapą, również z trzeciej nic nie wyszło. Zastanawiam się, jak mogłam kiedyś myśleć, że jestem atrakcyjna. Ale głęboko w sercu wiem: kiedyś miałam iskrę bożą, pewność siebie. Nie robiłam się zielona, poważna, nie robiłam smutnych oczu na samym początku. Wiem już, co miała na myśli bohaterka *Celii Amberley*², kiedy mówiła: „Jeśli będzie chciał mnie pocałować, coś się naprawi; znów będę piękna”. Najpierw potrzebuję chłopaka, jakiegokolwiek chłopaka, którego przyciągnie mój wygląd – kogoś takiego jak Emile. Potem będzie mi potrzebny prawdziwy chłopak, który będzie się dla mnie nadawał tu i teraz, i to wkrótce. Do tego czasu jestem jednak stracona. Czasem wydaje mi się, że jestem szalona. Dziś Bill i ja nudziliśmy się sobą jak mopsy. Najpierw przesiedzieliśmy nudne, deszczowe popołudnie u niego w pokoju, słuchając radia i oglądając fotosy. Potem kolacja w zatłoczonym Valentine. Potem obrzydliwy, infantylny film burleska, od której jeszcze mnie skręca. Potem burger i kawa w pustawym barze, ze zbyt ostrą muzyką, zbyt jasnym światłem, zbyt długą ciszą. I do tego wróciliśmy o jedenastej. Chciałam już iść do siebie, ale bałam się spotkania z dziewczynami; zastanawiałyby się tylko, czy kolejny wieczór poszedł mi źle, czy nie jestem czasem jakaś dziwna. Ach, co się będę przejmować, co one myślą (cholernie będę się przejmować). W każdym razie zatrzymał samochód i zaczęliśmy trochę bez sensu dobierać się do siebie.

¹ William Albert Gallup junior (1929–2005); B.A. 1951, Amherst College; spotykał się z Plath w 1950 roku.

² Bohaterka powieści *Celia Amberley* V. Lincoln z 1949 roku (przyp. tłum.).

Znakomite świadectwo tego, jak porządkująca poetka stała się Sylvią Plath

ANNE STEVENSON

KOMPLETNY ZBIÓR ISTNIEJĄCYCH DZIENNIKÓW SYLVII PLATH OBEJMUJĄCY DWANAŚCIE OSTATNICH LAT JEJ ŻYCIA

Plath aż do śmierci przelewała na papier codzienne zmartwienia, lęki, napiętności i przemyślenia, kreśląc tym samym wyjątkowy autoportret. Ten niezwykle intymny obraz pozwala lepiej zrozumieć poetkę i jej twórczość.

Dzienniki obejmują studia w ekskluzywnym Smith College, przerwane w 1953 załamaniem nerwowym, pierwszą próbą samobójczą i hospitalizację w szpitalu psychiatrycznym. Plath opisuje wyjazd do Anglii, naukę w Cambridge, kulisy małżeństwa z Tede Hughesem, rozpoczęcie kariery akademickiej i szybkie porzucenie jej na rzecz własnej twórczości. A także kolejne ataki choroby i coraz trudniejszą codzienność – brak pieniędzy, separację z mężem, samotną opiekę nad dwójką dzieci. Wszystko to zostało uzupełnione archiwalnymi zdjęciami, szkicami wierszy i rysunkami samej poetki.

Mysli Plath pedzą, kipią, rozdzierają jak piranoc pożerające zdobycz – czysta demontyczna energia wykorzystywana do obserwacji. Można przypuszczać, że głównym powodem samobójstwa Plath było tłumienie tego piranowego głosu.

JOYCE CAROL OATES

SYLVIA PLATH

(1932–1963) – amerykańska poetka, pisarka i eseistka. Zaliczana do grona poetów wyklętych, jedna z czołowych postaci Konfesjonalistów, kierunku w literaturze lat 50. i 60. XX wieku. W 1955 wyjechała jako stypendystka Fulbrighta na studia do Anglii, gdzie poznała swojego przyszłego męża, poetę Teda Hughesa. W 1960 roku wydała pierwszy tom wierszy, *Kolos*, a tuż przed śmiercią napisała tom *Ariel*. To właśnie dzieła stworzone w ciągu ostatnich siedmiu miesięcy życia zapewniły jej miano jednej z największych poetek XX wieku. Na miesiąc przed samobójstwem ukazał się jej autobiograficzny *Szklany klosz* (Marginesy 2019). Plath chorowała na zaburzenie afektywne dwubiegunowe (depresję i stany maniakalne) i kilkakrotnie przebywała w szpitalach psychiatrycznych, najczęściej w związku z próbami samobójczymi.

www.marginesy.com.pl



9 788366 335332

cena 59,00 zł

PIRANOC



Wydawnictwo Marginesy

BOOKLIPS P. III

a (promocja)

